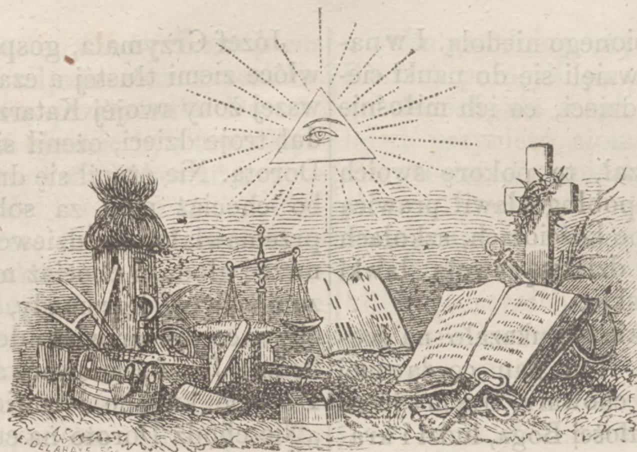
№ 21.

WARSZAWA

25 Maja

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *O ziarnie zakopanem, powieść.*

O ziarnie zakopanem.

(POWIEŚĆ)

—

Temu Bogu, którego mieli za Ojca niebieskiego ojcowie nasi, niech będzie cześć i chwała!

Temu Panu, który rządził duszami przodków naszych, niech będą dzięki wieczyste, że raczył wejrzyć na lud swój kochany i natchnął go duchem swoim świętym!

Jużeśmy bracia byli nad przepaścią. Jeszcze jeden krok, a piekło by nas ogarnęło, smoła śmierdząca napełniłaby powietrze nasze śmiertelnym zapachem i podusilibyśmy się.

Czarci piekielni przez złych ludzi porozno-sili po wsiach i po drogach rozstajnych nasienie nienawiści i zawiści, chęci wydzierstwa i łakomstwa, nastało zgorszenie świata, bo brat bratu niedowierzał dla tego, że piśmienny, albo że bogatszy.

Kapłani Boży już stracili u ludzi wiarę, pomawiano ich o przekupstwo i zmowę z bogatymi.

O sromota! nawet posądzali wszystkich co nie byli chłopami, że czatują na ich życie, kilka wsi poopuszczało domy swoje i pouciekały do lasów.

Czyż trzeba było większéj sromoty?

Ale Bóg widział, że to złe pochodziło nie ze złej duszy naszej, ale z tej ciemnoty ludzi, co o nich powiedziała święta Ewanielia, *że mają oczy a nie widzą, że mają uszy a nie słyszą*, i zesłał Bóg natchnienie przez Ducha świętego i zachęcił do nauki czytania, ażeby lud jego z ksiąg mądrości uczył się pokochać brata uboższego lub bogatszego albo szczęśliwszego i też żeby zawierzył posłannikom swoim, tym kapłanom co mu służą w kościele i też aby słuchał słowa każdego ze świętéj Ewanielii.

Ach, co z pomocą Bożą się dzieje, jak to łatwo postępuje! Czy to dawniéj można było zapędzić dzieciaka do szkoły bez grozy, albo czy to rodzice chętnie je tam posyłali. Nie bardzo zapewne, bo dużo szkół po wsiach pomarniało, i już wszyscy poczciwi zwątpili o oświacie wieśniaków.

Zwątpienie jak mgła pokryło ziemię, a zawiści, zazdroście, jeszcze ją zgęszczały.

Cóż zostawało robić? płakać, czy też opuścić ręce? Wielu tak zrobiło, ale kapłani pobożni i oświeceni nauką Bożą ludzie, wznieśli z wiarą przez gęstą mgłę oczy ku niebu i na klęczkach wołali o przebaczenie grzechu i o mi-

łosierdzie dla ludu trapionego niedolą. I w nadziei Boskiéj pomocy wzięli się do nauki ciemniejszych braci i ich dzieci, co ich miłośnie ukochali!

A kiedy Bóg to ujrzał, tę pokorę swoich sług i ludzi zbożnych, pobłogosławił prawicą świętą zasiew oświaty po kościołach, szkołach i dworach i napełnił dziatwą swoją ławki szkolne i krzesła dworskie.

Jakież to dzieło Boskie się ukazało na szerokiéj ziemi Polskiéj?.. Ten pan co dawniéj przed nim dzieciaki się chowały, trzyma je na kolanach i prawi im o miłości Boga, ludzi i kraju. Ta pani, co ją tylko wieś znała z dawania leków, uczy jak wyczytać z książki o tych lekach, a ta panienka co tylko dawniej modliła się klęczący za ludzi, uczy jak się modlić z pisma, a ci panicze co dawniej znani byli na wsi ze swojego wojażowania, opowiadają i pokazują na książkach, jakie to cudne światy Bóg utworzył i jakie to cudne dzieje na nich się dzieją. Kmiecie znowu od wschodu do zachodu Polski, od granic do granic wysyłają z domów dziatwę tam do szkoły, po tę naukę, co jeszcze niedawno wstręt do niéj mieli, i sami nawet po pracy, po zachodzie słońca garną się do niej. Z zapałem dziatwa leci do nauki, i nawet bywały przykłady, że uciekała z domów, a tam w szkole za poły trzymała nauczyciela, jakiego Bóg zdarzył, żeby ją jeszcze dłużej uczył.

Cuda to Boże, bo inaczej jakże wytłomaczyć tę naszą chciwość do oświaty!..

Jeżeli nie zgrzeszymy na nowo, jeżeli łaska Boża nas nieopuści, to niedługo bracia wszyscy przejrzymy przez pismo, nie będziemy się go bać, ani stawiania na podpisie krzyżów, bo sami wszyscy będziemy podpisy robili.

Tą powieścią naprowadzam ja was bracia do okrutnego wydarzenia, jakie się stało niedawno w ślicznéj ziemi Małopolskiéj, tam za Krakowem, ku Karpackim górom.

Opodal rzeki Wisłoki co bystre wody toczy powstałe ze śniegowych i lodowych ścieków i z tych łzawych źródeł nadbrzeżnéj ziemi, leży wies Kozierogi z kilkudziesięciu osad gospodarskich i komorniczych złożona. Czy się w téj wsi za dawnych czasów coś szczególnego działo, nie wiem doprawdy, bo o tém w żadném znajomém mi piśmie nie stoi. Ale teraz stać będzie następująca historya:

Józef Grzymała, gospodarz osiadły na pół włóce ziemi tłustéj a czarnéj, po śmierci pierwszej żony swojéj Katarzyny, z któréj Bóg mu dał troje dzieci, ożenił się z drugą, po imieniu Dorotą. Nie ożenił się drugi raz bardzo łatwo, bo chociaż miał za sobą gospodarstwo, co przemawiało do dziewczyny, że nie będzie mrzeć głodu, i chociaż miał o sobie dobre rozumienie całej gromady, że jest człowiek poczciwy, co przemawiało do jej serduszka, że ją będzie Józef szanować, a nie poniewierać, ale Dorocie krewne i rówiennice ciągle gadały: „Nie chodź Doroto na cudze dzieci, bo gorzko wypłaczesz ty, ten chleb gospodarski i te wdowcowe zaloty.“ Czy kto ją inaczej przekonał, czy sama nabrała chęci, niewiadomo, ale stało się na tém że ślub wzięła z Józefem. Powiadają, że w gadaniach ludzkich wiele jest prawdy zawsze, ale na ten raz wcale się te gadania nie sprawdziły, bo na prawdę, bardzo Dorotę szanował Józef, nie krzywił się nigdy na nią, nie potérał ani słowem, a broń Boże ręką, a dzieci Józef trzymał w takiéj karności ojcowskiéj, że nie tylko nie przyczyniały one macosze żadnej przykrości, ale nawet garnęły się do niej i kochały ją, jakby prawdziwą matkę. Szczęście to było wielkie, że tak trafiła Dorota, bo wiadomo, że dobrym ojczymem łatwiej być, ale rodzoną matkę trudno zastąpić, albo lepiej powiedzieć, że żadna kobieta nie potrafi zastąpić matki i dla tego to zawsze gadanie na macochy, choćby nie jedna z nich więcej warta była od rodzonej matki.

Z tej jednak racyi nic nie ucierpiała Dorota i żyła długi czas, bo z lat kilkanaście z Józefem, bardzo przykładnie. Bóg dał jej też troje dzieci, wszystko sześcioro razem z pasierbami obmywała, czesała i obszywała jednako a pilnie. A kiedy Józef umierał, rzewnie płakała, że zabiera jej Pan Bóg dobrego chłopa, od którego marnego słowa nie usłyszała nigdy. Ażeby mu zaś dać dowód swojego poszanowania nawet po śmierci, przysunęła się do łóżka chorego, nim ksiądz przyjechał z miasteczka na ostatnie pomazanie, i rzekła:

— Kiedy Bogu się spodoba i Matka Boska was nie zachowa na świecie, to powiedźcie Józefie, jak ja was mam chować?

— Pochowaj mnie ze śpiewami i ze mszą świętą, przebąknął chory Józef, przecieć tam

znajdzie się jeszcze na to, żeby u Boga przez nabożeństwo uprosić odpuszczenie grzechów.

— Ale bo widzicie, przemówiła Dorota, mówiliście mi że wasi ojcowie byli tam z kądsiś od Buga i że oni się kazali chować ze zbożem, to możebyście się też tak kazali pochować. Może to i dobrze, bo kiedy wam starczyło chleba i wszystkiego, może też i dzieciskom dałby Pan Bóg tak samo.

— A moja żono, znowu przebąkiwał chory, nie wiem ja czy to dobrze, tylkośmy ze zbożem pochowali swoich ojców. To tam z tém zrobisz jak ci się spodoba, tylko pamiętaj o mojej duszy i co rok dawaj na wypominki.

— O to się nie kłopoczcie, ozwała się Dorota, jeśli już tak musi być że wam się zemrze, to o duszy waszej przenigdy w świecie nie zapomnę.

— O moja Dorosiu, wymówił chory i z wysiłkiem sił swoich położył rękę na ramieniu żony, wiem ja żeś mi była zawsze wedle ślubu, to ci też pewno Bóg nagrodzi to kochanie.

Po tej rozmowie syn Józefa przywiózł księdza z miasteczka z Panem Bogiem. Sąsiedzi zeszli się do chorego, a w czasie spowiedzi, wszyscy klęczeli w sieni i mówili pacierze. Kilkoro ludzi i Józwowa trzymali w ręku zapalone gromnice. A kiedy się w izbie ozwał dzwonek, ludzie z sieni przeszli do izby i byli przytomni jak ksiądz udzielał święte Sakramenta choremu, jak go zasilał ciałem i krwią Pańską i jak go namaszczał świętemi olejami, aby go pokrzepić na drogę wieczności. Józwowa w ciszy zalewała sobie twarz gęstemi łzami, co jej oczy wypłakiwały. Dzieci łkały głośno, aż je wstrzymywali starsi, mówiąc, że to ciężej jest choremu. Najwięcej płakała komornica Rafałka, dawna drużka i serdeczna przyjaciołka Józwowej.

Ksiądz zaledwo odjechał, chory począł konać, oczy mu się w słup przewróciły, włosy niby powstawały, twarz była martwą, ręce i nogi tężały. Możnaby było powiedzieć, że chory już umarł, ale dawał jeszcze oznaki życia: to mu pierś drgnęła, to ręka albo noga się poruszyła i strasznie mu rzęchotało w gardle.

Na taki widok Józwowa głowę straciła, wydawała rozpaczliwe krzyki, dzieci témbardziej jeszcze z żałości wrzeszczały. Krewni zajęli się uspokojeniem Józwowej i dzieci, drudzy wzięli w opiekę konającego. Trzymali mu w ręku gromnicę zapaloną i obrazek Matki Boskiej położyli na piersiach. A kiedy długo skonać nie mógł, kazano starszemu synowi przynieść słomy pszennej, omłóconej ale prostej. Przyniósł syn parę snopów takiej słomy, rozpostarł na izbie i złożono na nią konającego, w tém przeświadczeniu, że prędzej będzie mógł skonać. I rzeczywiście, po kilku pacierzach czasu, konającego ogarnęły szarpania konwulsyjne, wydał ze trzy westchnienia i przesłał swego ducha tam zkąd go dostał, to jest na drugi świat wieczny.

W ciężkich frasunkach domowych zazwyczaj tak bywa, że kobieta więcej ma przytomności od chłopa. I Józwowa kiedy się przekonała, że ratunku już niema żeby Józef ożył, orzeźwiła sobie głowę i przypomniała słowa nieboszczyka i zobowiązania swoje i myślała o pochowaniu takiem, jakie przynależy się gospodarzowi: żeby były śpiewane wigilje i jarzące światło za pogrzebem. Kumy, krewne i przyjaciółki przychodzą też w takich razach w pomoc sfrasowanej kobiecie, i jeżeli jej w czém na doprawdy nie pomogą, to przynajmniej starają się ją cieszyć słowami, chociaż zbolałej kobiecie więcej nudzenia nieraz sprawiają jak pomocy.

Może i Józwowa miała takie pomoce, ale kiedy się ozwała do niej Rafałka i powiedziała:

— Moja Józwowo, dużoście się natrapili, posiedźcie wy sobie spokojnie, a ja za was wszystko uczynię, tylko mi powiedźcie, co jest do zrobienia?

To Józwowej serdecznie się to wydało, bo ufała Rafałowej jak sobie samej i powiedziała jej:

— Moja Rafałko, nie wiem jak się to wam wyda, ale nieboszczyka ojcom kładli zboże pod głowę, czyby i jemu tego nie uczynić?

— A jakże to, nasypać zboża?

— Nie Rafałko, nie nasypać, ale zboże zaszyć w trójgraniasty woreczek i tak podłożyć nieboszczykowi pod głowę.

— A powiedźcie mi też Józwowo, na co to się tak robi?

— Widzicie Rafalko, pono że to dobrze dla dziecisków, że nie będą mrzeć głodu na świecie. Ale to tam w tém grzechu nie ma, boby nieboszczyk na to nie pozwolił, żeby był grzech.

— A kiedy grzechu niema, mówicie Józwowo, to czemuby tego nie uczynić? Juścić że

dobrzeby było, żeby dzieciska głodu na świecie nie marły.

Gdy tak sobie przyjaciółki nagadały, naradziły zkąd wziąść czystego ziarna i wykroiły z płótna worek. Szyciem się zajęła Rafałka, a jak worek trójgraniasty był gotów, nasypały do niego: pszenicy, żyta, tatarki, owsa, jęczmienia, prosa, koniczyny i rozsady, zaszyły to wszystko, i kiedy nikogo nie było w izbie nazajutrz rano, włożyły w trumnę nieboszczykowi pod głowę, a jeszcze Józwowa w nogach podłożyła kawałek kiełbasy i słoniny, jaje i miód, i przykryła to książką do nabożeństwa.

Nadszedł czas wyprowadzania. Zabito trumne drewnianemi gwoździami, odwieziono zwłoki do kościoła w miasteczku na kutym wozie we dwa konie, a nazajutrz po wigiljach śpiewanych i po mszy, odprowadzono nieboszczyka ze śpiewami i z jarzącém światłem na sam cmentarz i pogrzebiono go w grobie święconym, na który pierwszy ksiądz rzucił pierwszą bryłkę ziemi zmarzniętej, bo to było w zimie po święcie Trzech Królów.

Powrócili ludzie z pogrzebu na stypę do Kozichrogów, do Doroty Józwowej, przepili kieliszkiem pamięć nieboszczyka i posilili się dla lekkości jego duszy strawą jaką Bóg nadarzył. Pocieszania Józwowej nie brak było, ale ona znajdowała pociechę chociaż w tém ziarnie i w tém jadle, co go złożyła w trumnie i w grobie zakopała. Sądziła że na wieki, a to tylko może na pół roku, bo z ziemi wszystko to wyrosło i wydało owoce, niby pestka co się ją zagrzebie w ziemię, a potém z niej wyrasta drzewko i rodzą się śliwki.

Po pogrzebie Józefa Grzymały, ludzie się cieszyli w Kozichrogach, bo nastały niedługo dwoje chrzcin i dwoje wesel. Na weselach Józwowa nie była, ale chodziła na jedne chrzciny do swojej krewniaczki. Podobało się tam Grzelczykowi, chrzestnemu ojcu narodzonego dziecka, bardzo żałośliwie przyglądać się Józwowej i pocieszać ją w strapieniu dobremi nadziejami i opieką Boską, co bardzo zakorciło wdowę Rafałkę, bo chrzestny był wdowcem, a ona miała na niego oczy. Jak jej te żałości Grzelczykowe już bardzo doskwirały, wzięła się Rafałka z nim do przemówek, a od niego przeszła i do Józwowej i naprzymawiała jej dużo, niby o to, że ledwo jednego chłopa zasypała świętą ziemią, a już o drugim myśli. Ale tak wcale nie było, jeno Rafałka przez zazdrość upatrzyła coś do Grzelczyka i Józwowej. I dziwota, że kiedy przez tyle lat od tego czasu jak były jeszcze dziewuchami, zawsze się lubiły i nic a nic ich pokłócić nie mogło, a jak poszło o chłopa, zazdrość wlazła za skórę Rafałki i poswarzyła obie kobiety do ostatniego.

Józwowa broniła się przed krewnemi i przed sąsiadkami rozpuszczoną gębą Rafałki, ale Rafałka nazwała tamtę *czarownicą* i opowiadała potém w karczmie przed ludźmi o tém zbożu w trójgraniastym worku, włożonym pod głowę Józwa, i dodała, że to wszystko na to Józwowa zrobiła, żeby jej dzieci nie marły głodu na świecie.

Jak te słowa usłyszała stara komornica Rzębicha, co się miała za znającą na czarach i pierwszeństwa w tem nikomu odstąpić nie chciała, zatrwożyła się bardzo, przecięła mowę z kobietami i z chłopami, wsparła sobie widlatą brodę na jednym kułaku, zamyśliła się, zapatrzyła się w ziemię, kiwała okrągłą główką. Z zaropiałych oczów, wycisnęły jej się dwie łzy po zmarszczonych, wywiędłych, ale czerwonych policzkach, nos niby że przysuszony taki płaski, wytarła we fartuch, obtarła ze łzów, potém zaczęła wzdychać ciężko i gębę wykrzywiać, aż jej widać było całe czerwone dziąsła z czterema zapruchniałemi zębami.

Kiedy ludzie ujrzeli taki żal Rzębichy, ciekawi byli co ją tak nagle dotknęło, czy jej się miało na konanie, czy ją kolki sparły, ale ona gwałtownie machnęła ręką, i ozwała się do karczmarki:

— Dajcie córeczko jeszcze wódki, napiję się jeszcze ze swojemi... kiedy biedę cierpieć to razem...

— A co wam jest? wyseplunila druga baba, stara Jantoska, co ani jednego zęba w gębie nie miała.

— Zobaczycie co mnie będzie i co wam będzie wszystkim? zawołała Rzębicha i przepiła kieliszkiem do drugiej baby.

— Ale gadajcie już Rzębicho, zawołało kilkoro ludzi, co ma być, to niech już chociaż wiemy.

— Oj synkowie, oj córeczki moje! biéda będzie, okrutna biéda z tém zakopaniem ziarna w trumnie Józwa.

— O pewno że na złe, a nie na dobre się to świadczy, nie na dobre, kochanki moje, wyseplouiła stara Jantoska.

Kiedy kieliszek już doszedł do ręki szóstej baby i z flaszeczki nie było co dolewać, Rzębicha machnęła ręką i wypowiedziała:

— Kiedy ludzie dziś nie pilnują swojego dobra, to darmo, poginiemy, pomrzemy z głodu wszyscy jak muchy na jesieni, bo kiedy się zakopało z nieboszczykiem ziarno, to się zakopał cały urodzaj, ale to caluchny, do cna. Dawniej pilnowało się żeby okrucha słomy nie wpadło do trumny, to też było co jeść ludziom.

Ktoś z gospodarzy na tę mowę tak się ozwał:

— Mnie się zdaje, że może Józwowa tylko chciała zaszkodzić pasierbom, a dobrze zrobić swoim dzieciom, to na coby się wszystkim markocić.

Ale stara Jantoska uśmiechnęła się na taką perswazyą i ruszyła ramionami, a Rzębicha zawołała:

— Ja ani słówka nie rzeknę, nie mam nic do Józwowej, tylko to nie dobrze, że to ziarno tam zakopane w trumnie, bo będzie oj będzie biéda.

Jeden z chłopów co stał za Rzębichą, stuknął kijem w podłogę i wyrzekł znacząco:

— Trzeba temu zaradzić, na to jest wójt, trzeba Józwowę ściągnąć do wójta, aby się wytłómaczyła, a jak się nie przyzna, to jej palić rękę na ogniu, albo pławić ją na wodzie.

Chłop co tak przemawiał, był komornikiem w Kozichrogach, a nazywał się Marek Kołtun.

Po tej mowie Kołtuna, obudził się u wszystkich ludzi straszny gniew na Józwowę i wszyscy nabrali ciekawości, jak też to się pali ręka, albo jak się pławi czarownica? Rzębicha znowu rada że jej słowa mieli za coś, że przekonała ludzi o swoim rozumie, starała się okazać że jest i sprawiedliwą. Przemówiła zatem do Rafałki:

— Moja córuniu, czy ty nie ze złości wygadujesz na Józwowę, bośta się może o co poswarzyły? Gadaj prawdę, bo widzisz osądzić kogo po próżnicy, to grzech nie odpuszczony, wszystkoby potem spadło na ciebie.

— Ja nie cyganię, jeno prawdę mówię, odrzekła Rafałka i na moje słowa gotowam przysiądz, że Józwowa włożyła swojemu ziarno pod głowę w trumnę, a żem nie wiedziała do czego to będzie, tom nawet uszyła jej worek trójgraniasty.

— Widzita, widzita kochanki, zawołała Rzębicha, że ona zakopała urodzaj w ziemi! Na to musita radzić?

— Chodźta do wójta, kto chce ze mną, wrzasnął Kołtun, bo trzeba temu radzić i z czarownicą coś zrobić, żeby ludziom nie szkodziła.

Spora kupka ludzi wysunęła się z karczmy za Kołtunem do wójta, a po tutejszemu do sołtysa, na oskarżenie czarownicy, ale jeden chłopak chudy i blady a spory, już parobczak nawet, co go we wsi nazywali głupim Wojtkiem, za to, że się nigdy nie wtrącał do rozmowy z ludźmi, ani do zabawy, ani do tańca, jeno myślał i gadał o dziwnych wymysłach swojej głowy, jak usłyszał te gadania Rzębichy i Kołtuna, wyleciał z karczmy i po zapłociu prosto wpadł do Józwowej.

Józwowa przestraszyła się zadyszałego Wojtka, ale prawie zamarła jak jej powiedział chłopak:

— A uciekajcie Józwowo ze wsi, bo wam będą rękę palić na ogniu, albo was wypławią.

Jak to powiedział głupi Wojtek, poleciał za ludźmi do wójta, a Józwowa kiedy się z przestrachu opamiętała, ogarnęła się na prędce i poleciała przez pole na drugi koniec wsi, do Jana Pawelaka. Jan Pawelak dobrze już znał tę historyą całą i zagadnął Józwową:

— Ale bo co to wam do głowy przychodziło, żeby ziarno dawać umarłemu, co to wam z tego przyjdzie? Ani wam, ani nieboszczykowi, ani nikomu nic z tego nie przybędzie, a jeszczeście się zwierzyli głupiej babie, to wam teraz piwa nawarzyła.

Józwowa się zapłakała na te słowa i zaczęła się tłómaczyć:

— Albo ja mój Janie wiedziała, że to tam narobi takiego hałasu na wsi, żebym wiedziała, tobym jeszcze zdmuchnęła każde ździebełko z trumny, a nie kładła. Przeciem była u spowiedzi i ksiądz mi powiedział, żem tylko głupstwo miała w głowie, żeby wierzyć że się przez danie ziarna nieboszczykowi, opędzi głód dzieciskom, ale że dla narodu wszystko jedno, czy tam leży trochę ziarna w grobie czy nie leży. Przecieć go teraz nie wyjmę, choćbym chciała. O dla Boga, ja się tu już nie osiedzę we wsi, bo mnie ludzie zamęczą

jeszcze za żywa i dzieciska pomarnieją. O za co też mnie Pan Bóg tak karze na świecie?

Kiedy tych słów domawiała, drzwi od sieni zaskrzypiały, Józwowa się za piec schowała, a do chałupy wlazł Kołtun i przemówił do Pawelaka:

— Chodźcie jeno Janie na wieś, bo przed wójtem gromada się zebrała, żeby poradzić o tej czarownicy co z nią zrobić i o tém zakopanem ziarnie.

— A przyjdę ja tam, przyjdę zaraz, powiedział Pawelak, jeno trochę tu mam krzątania, ale ja tam zaraz przyjdę.

— Przychodźcie, dodał Kołtun, bo tam wójt i starsi gospodarze na was się oglądają.

Poszedł z chałupy Kołtun, a Pawelak przemówił do Józwowej, co wyszła z za pieca.

— Biéda się zrobiła, widzicie Józwowo, ale trzeba ludzi opamiętać.

— A upamiętajcie Janie, mój złoty, mój święty Janie, żebym ja choć przestała frasunku, bo ja ani dnia, ani nocy nie mam spokojnej. Chyba duszę wypłaczę, bo mi łzów nawet nie stanie.

Pawelak przywdział na się białą sukmanę, i w wysokim kapeluszu szedł ku gromadzie na wsi. Ludzie zdala go zobaczyli i ciekawi byli rady jego, bo Pawelak to był rozum całej wsi. Był też chłop okazały, że inne wsie mogłyby bez grzechu pozazdrościć takiego gospodarza Kozimrogom, a był piśmienny i człowiek bywały po świecie. Nigdy dużo nie gadał, niby mało widział, ale nic we wsi nie uszło jego oka, ani jego słuchu. Chyba głupstwo ominęło go, bo ani patrzeć, ani słuchać nie chciał, a za plotki okrutnie się gniewał. Ale o rzeczach ważnych, co stanowiły dobro rodzeństwa i gromady, rozważał zawsze i kierował ludzi ku ich szczęściu. Jak stanął Pawelak w gromadzie, wójt mu wypowiedział o ziarnach zakopanych i zapytał jak też mu się to wydaje i coby należało zrobić? A Pawelak na to:

— Ja, mój wójcie tobym tak zrobił, żebym przestał gadać i myśleć o ziarnie, bo to gadanie i psu na budę się nie zda, a tylko się przyczynia frasunku Józwowej, co nic nikomu nie krzywa, nie wdaje się nigdy w bajki, a pilnuje chałupy i dzieci.

— Pilnuje i dobrze pilnuje, zawrzeszczała Rzębicha, że urodzaj dla nas zakopała, a swoim bębnom zapewniła, dobrze pilnuje!

— To czarownica i nic więcej! dodał Kołtun.

Nastała rozprawa długa, bo Józwowa miała krewieństwo we wsi, i ci ją popierali za Pawelakiem, ale widocznie wszystkich straszyło zakopane ziarno. Po naradzie, po wypytywaniu Rafałki, po przestrogach Rzębichy, ozwał się dopiero Pawelak w te słowa:

— Miarkuję że się już zgadzata na to wszyscy, że Józwowa nie na czary włożyła ziarno w trumnę, jeno że tak robili i ojcowie nieboszczyka, to zgódźta się, żeby Józwowej dać spokój, a o ziarnie pójdziemy do księdza poradzić się, czy ono tam w trumnie nie zaszkodzi urodzajom.

— Tak, to dobrze, ozwało się kilkoro ludzi, żeby się poradzić księdza.

— Kiedy się zgadzacie na to, powiedział wójt, to pójdziemy jutro do księdza z rana i rzecz się skończy.

— A dobrze, to pójdziemy jutro, znowu się ozwało kilkoro ludzi.

Nazajutrz jak się słońce pokazało na niebie, wyprawiło się poselstwo od gromady Koziérógskiej do proboszcza. Miasteczko było ode wsi bliziutko, nie więcej jak o dwa staja, niebawem też stawił się przed proboszczem wójt, Jan Pawelak, Grzelczyk i najbardziej zawzięty Kołtun i jeszcze z dziesięciu gospodarzy. Wójt wymownie rozpowiedział księdzu rzecz całą o ziarnie, o tém jak się ludzie boją nieurodzaju i o tém, jak posądzają Józwowę o czary, i że proszą żeby ziarno odkopać z grobu. Pawelak ani słówka nie mówił. Jak ksiądz wysłuchał mowę wójta, co go zadziwiła niesłychanie i tak przeraziła, że prawie osłupiał, po chwili przeżegnał się i powiedział do ludzi:

— Czy wy żyjecie w kraju Polskim i chrześcijańskim, czy w pogańskim? czy wy wierzycie w jednego Boga wielkiego, potężnego, którego ludzkie słowa ani gusła, nic nie mogą zmienić w Jego świętych rozporządzeniach i urządzeniach? Jeśliście Polacy i chrześcianie i wierzycie w Wszechmocnego Boga, jak mogliście wy, ludzie poważni w waszej wsi wymyślać podobne głupstwa i niepokój robić? toć to pogaństwo, to zabobon! Błędnie sądziła Józwowa, jeżeli dając ziarno nieboszczykowi, myślała że przez to ratować będzie od głodu swoje dzieci, ale jeżeli włożyła je dla zwyczaju, który w wielu stronach Polski i Litwy

dotąd się zachowuje, to w tém nie ma ani grzechu, ani cnoty, a tylko sobie rzecz niewinna, tak jakby kto włożył umarłemu jaką rzecz albo sprzęt, który mu był miłym za życia. Ale straszyć siebie i ludzi tém zdarzeniem to nie tylko jest śmiesznością, ale grzechem nawet, bo dowodzicie, że nie pojmujecie ani Boga, ani świętej naszej wiary. Więc podług was, to ziarnem albo słowem, albo czém bądź, można zmieniać te prawa, jakie Bóg nadał przyrodzeniu?! Wierzcie mi że nie można, i jeżeli wam ktoś powie, że ten temu zrobił to, zadał to, albo zaczarował, nie wierzcie mu, bo to paplanina z ciemnych mózgów wychodząca, a znajdująca wiarę tylko u nierozsądnych. Prawda, że są rzeczy na świecie, które przez nierozumienie, nazwałby nie jeden czarodziejstwem, jak ściąganie piorunów, jak przesyłanie wiadomości różnych w kilka chwil w miejsca bardzo odległe, tak żeby nie tylko ptak, ale i kula tak prędko nie przeleciała, i inne takie rzeczy, ale to nie są czarodziejstwa, a sprawy nauki. My wiemy o tem i nie boimy się konduktorów, ani telegrafów. Ludzi co je wymyślili i co na to cały żywot swój poświęcili, zdrowie albo i życie stracili, aby tylko przyczynić się dla ludzkiego dobra, chowamy w pamięci i szanujemy ich imiona, a za życia może nie jeden miał ich za czarowników i za trzymających z diabłem.

—Przepraszam Dobrodzieja, przemówił Kołtun kłaniając się księdzu, ale moi ojcowie opowiadali że za nich pławili czarownicę w stawie i że utopiła się dla tego, że była czarownica.

—Dobrze mówisz, odrzekł ksiądz, tyś przecie nie czarownik, a jeśli pływać nie umiesz, to także rzucony na wodę pewnobyś utonął, a znowu jakbyś umiał pływać, toby można powiedzieć, że dla tego nie toniesz żeś czarownik.

— A dla czego, proszę z przeproszeniem Dobrodzieja, mówił Kołtun, byli ci czarownicy, przeciećby ludzie tak nie wymyślili, jeno z czegoś to powstało.

— Z głupoty mój Kołtunie, z głupoty ludzkiej. A na dowód tego, zapytam ci się czy umiesz czytać na książce?

— Nie umiem proszę jegomości.

— A widzisz, że wielu ludzi jest takich, co umieją czytać, to wszyscy muszą być czarownicy, że patrzą na czarne znaczki i wiedzą o wielu rzeczach.

—E proszę Dobrodzieja, bo się uczą w szkole.

— A więc widzisz, że wiele rzeczy czego nie umiemy i nie pojmujemy moglibyśmy nazwać czarodziejstwem, a to tylko owoce długiej, uciążliwej nauki. A jak myślisz Kołtunie, czy miał rozum ten, kto pierwszy wymyślił drukowanie książek?

— O zapewne że miał, co prawda, to prawda.

— Wymyślił druk pierwszy Jan z Kutnogóry Czech. A czy on był wart nagrody za to od ludzi i czyś słyszał jaką on nagrodę odebrał?

— Nie słyszałem jeszcze.

— To wam powiem że dostał taką nagrodę, że go ludzie osądzili za czarownika, że ze swoją sztuką drukarską musiał się chować i uciekać z miasta do miasta, boby go spalili. To masz odpowiedź na to, że za twoich ojców pławili czarownice. Ja wiem że to robili ludzie, co wielu rzeczy nie rozumieli i męczyli nieraz ludzi chorych, obłąkanych, albo ludzi oddanych głęboko jakiej nauce. Jana z Kutnogóry o mało nie spalili na stosie, jak czarownika, a dzisiaj w kościołach z jego wynalazku, modlą się na książkach i wszelaka nauka rozchodzi się po świecie, a na ołtarzach Bożych leżą drukowane mszały.

Jeszcze ci Kołtunie powiem przykład drugi. Widziałeś parochód i kolej żelazną. Dziś na to patrzysz jak na rzecz zwykłą, choć ci niezrozumianą; ale odważasz się sam jeździć koleją, chociaż z początku pewnoś mówił, że to antychryst jeździ z rozpalonym piecem. Koleją jeżdżą i księża i biskupi i sam Ojciec święty, a dwieście kilkadziesiąt lat temu, kiedy Salomon Dekaus pierwszy wzywał ministrów, żeby go wsparli pieniędzmi, a on im za nie wybuduje statek, co go para będzie obracała, to go ministrowie uważali za obłąkanego i nawet zamknęli go w domu waryatów. Tymczasem bogaty Markiz Żuffrua prawie jeszcze przed wiekiem ze swojej kieszeni zbudował taki mały statek na próbę i puścił go na wodę w obec króla. Po śmierci jego zapomniano o parze, a kiedy znowu za cesarza Napoleona, Fulton gadał że mu wybuduje okręt, co go będzie para poruszać, to Napoleon i wszyscy ludzie uczeni śmieli się z niego i niedowierzali jego rozumowi. Żeby to było dawniej, toby go ludzie nawet osądzili

za czarownika, i możeby spalili. Za tych czasów nie odebrali na szczęście życia Fultonowi, a on jak widział że i u wielkiego wojownika posłuchu nie znajduje, wyjechał do Ameryki i tam z pomocą bogatych ludzi co mu dali pieniądze, wystawił parowy okręt i puścił go na morze.

Kołtun na to się odezwał:

— Z przeproszeniem Jegomości włożę swoję słowo takie, że kiedy ludzie uczeni nie wierzyli Fultonowi temu, a pierwszego zamknęli, to musieli wierzyć w czary i bali się ich.

— Widzisz mój Kołtunie, przemówił ksiądz, że oni nie obawiali się czarów, jeno nie wierzyli, żeby para mogła obracać koła. A chociażby i wierzyli w czary, toby nie dowodziło jeszcze że czary są, albo że były na świecie; bo wiemy dobrze z ksiąg starych, że w czary wierzyli nie tylko chłopi, ale panowie i książęta potężni. I dobrze żeś mi to wtrącił, bo cię przykładem nauczę z historyi Polskiéj. Kiedy przed sześciuset latami za króla Bolesława Wstydliwego, pierwszy raz napadli Tatarzy na ziemię naszą, spalili Sandomierz i Kraków, a nawet i Wrocław. Stanął na Dobrem Polu pod Lignicą co na Szląsku leży, książe Henryk Pobożny, z wielkim wojskiem, żeby Tatarów nie puścić dalej, ale ich pobić na dobre. Do Polaków przyłączyli się ze strachu sąsiedni Niemcy i Krzyżacy, a i bracia Czesi, boby ich kraje tak samo Tatarzy zniszczyli jak i Polskę, gdyby im śmiało w oczy nie zajrzeli nad Odrą. Jak przyszło do boju, ćma tatarska nic skórać nie mogła, bo ich nasi tęgo trzepali i byliby pewno na głowę pobili, gdyby nie ta wiara w czary. Ale cóż? Tatarzy wiedzieli o tej wierze i kiedy darmo tysiące tracili, a nie mogli naszym poradzić, udali się do fortelu: wystąpili z chorągwią, na któréj była zatknięta głowa jakaś człecza z długą brodą, a z paszczy wybuchał jej ogień i dym smrodliwy. Tak to naszych przeraziło, że uciekali bez pamięci od tej głowy jak odurzeni, chociaż książe Henryk Pobożny z garstką ludzi rzucił się na tego Tatara, co trzymał chorągiew z głową dymiącą, ale rzucił się ze strachem, i dla tego zginął, a głowę mu ucięli Tatarzy i na drugą dzidę wsadzili i obnosili po obozie. Szczęście wielkie że Tatarów w tej bitwie dużo wyginęło i że się musieli wracać do swoich domów, bo nasi i pomocnicy z postrachu uciekaliby długo jeszcze przed nimi. A cóż to było ta głowa piekielna? oto po prostu głowa napchana prochem sztucznie ułożonym; ale że u nas jeszcze o prochu ani słyszano, więc naszym wydało się to strachem okrutnym, może żywym djabłem, a Tatarzy o prochu wiedzieli z kraju Chińskiego i robili sobie zabawki jak i u nas dziś w miastach puszczają węże ogniste, albo różne dziwołągi. Przekonaj się więc Kołtunie że nie przeczę, żeby dawniej nie wierzono w czary, bo wierzyli w nie i ludzie uczeńsi, ale doświadczenie, nauka, wiara w Boga prawdziwego teraz już postawiły ludzi na tym pewniku, że czarów nie było nigdy i że ich nie ma nigdzie.

Rozmowa ta z proboszczem przekonała ludzi, że głupstwo robili, że zbrodniąby było poruszać w grobie zmarłego Józwa, przeprosili księdza za przeszkodzenie i wrócili do Kozichrogów.

We wsi wszyscy się ucieszyli że nie ma strachu na nieurodzaje, i że nie ma się co obawiać czarów Józwowéj. Kołtun tylko wymówił się przed Rzębichą, że on księdzu nie wierzył, tylko że go jakoś ksiądz tak omanił, że języka w gębie zapomniał. Ale Rzębicha nie słuchała takiego tłómaczenia i tak twierdziła przed sąsiadkami:

— Ksiądz prawi jak ksiądz, ale ja pewna jestem swego, że urodzaj zakopany, że wszyscy co chodzili do księdza byli omamieni, bo i Kołtun przyznał mi się, że go ksiądz omamił.

Wiarę w czary powoli krzewiła u ludzi Rzębicha i dowodziła, że sama dużo umie robić, tylko że nie chce, boby to był grzech. Przynajmniej tyle się zrobiło, że Józwowej na wsi w oczy nie prześladowali i mogła spokojnie krzątać się koło gospodarstwa i dzieci opatrywać.

(Dokończenie nastąpi.)

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15.
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 25 Maja 1862 r.